

Sześćdziesiąt lat jak mgnienie oka. Jak błyskawica. Bruno Conti świętuje 60 urodziny. Impreza w gronie rodziny, bez przepychu. Takie było też jego życie. Nawet jako mistrz świata zawsze zostawał za kulisami, nigdy nie lubił blasku reflektorów czy światowego życia. Sześćdziesiąt lat. Wiele z nich w świecie piłki. Prawie wszystkie. Godzina na wspomnienia i emocje, na skok w przeszłość, kiedy w Trigorii słońce zaczyna zachodzić. Bruno Conti to bohater włoskiej piłki, ulubieniec kibiców, absolutny punkt odniesienia dla Romy. Godzina to zbyt mało, żeby opowiedzieć wszystko.

I pomyśleć, że jako młody chłopak wolał Pan baseball.

BC: Dla mnie sport zawsze był wszystkim. W Nettuno dorastałem na miejskim stadionie. W lecie grałem w baseball, w zimie w piłkę nożną. Byłem zakochany w baseballu. Stadionem zarządzał mój wujek, Luciano Di Girolamo. Praktycznie tam mieszkałem. W piłkę grałem już jako mały chłopiec, w baseball też dobrze sobie radziłem. Miotacz, leworęczny - zawsze robiłem wszystko lewą nogą i ręką. Zanim wybrałem piłkę nożną, przedstawiciele klubu z Santa Monica odwiedzili mnie w domu, żeby porozmawiać z moim ojcem. Byli w Nettuno na tournée i widzieli, jak gram. Mój ojciec nie zastanawiał się długo. Byłem zbyt mały, nie chciał mnie puścić do Stanów Zjednoczonych.

A więc wygrała piłka nożna.

BC: Z Nettuno trafiłem do Anzio. Ale w lecie u nas był turniej, w którym uczestniczyli też piłkarze Serie C i Primavera Romy. Zobaczył mnie Tonino Trebiciani, który pracował w sektorze młodzieżowym Romy, sprowadzony przez Anzalone. Mój ojciec wstawał o czwartej rano, żeby dotrzeć do pracy. Był murarzem. Nie mógł mi towarzyszyć. Wujek Nando zwiózł mnie swoim autem na testy. Pierwszy test w Romie nie poszedł dobrze. W tamtych czasach rządził Helenio Herrera. Powiedział, że technicznie jestem dobry, ale fizycznie nie nadaję się do piłki nożnej. Zachowałem spokój. Tak bardzo kochałem sport, że nie zamierzałem się poddać. Pojechałem na kolejne testy do Bolonii. Pamiętam podróż pociągiem z Andrea Agostinellim. Potem do San Benedetto del Tronto, które wtedy liczyło się z piłkarskim światem. Wszyscy mówili to samo: dobry, ale za mały. Myślałem więc, żeby wrócić do baseballu, ale potem Trebiciani chciał mnie u siebie za wszelką cenę. Zadebiutowałem w Serie A w sezonie 1973/74 w meczu Roma-Torino 0-0. Na boisko wpuścił mnie Liedholm. Wywalczyłem rzut karny, którego Domenghini nie wykorzystał.

Prezesem klubu był wtedy Anzalone.

BC: Mam wspaniałe wspomnienia. Nigdy nie zapomnę pierwszego roku. Ani tego, jak wysłali mnie do Genoi po raz drugi, żeby zdobyć Pruzzo. W pierwszym roku z Simonim osiągnęliśmy wiele. Wiele zawdzięczam Gigiemu. W drugim roku Anzalone był rozczarowany, że musi mnie poświęcić. Dał mi pożegnalny prezent, medal. Ale z perspektywy lat zachowałem dobre wspomnienia, ponieważ pomogłem Romie zagrać świetny sezon. Niedawno spotkałem znowu Anzalone. To bardzo wrażliwy człowiek, potrafił emocjonować się do łez.

Trener, który Pana wypromował, to Nils Liedholm.

BC: On był moim życiem, piłkarskim i czysto ludzkim. Nauczył mnie wszystkiego. Nigdy nie zapomnę pierwszego treningu z pierwszą drużyną. Byłem młodym chłopakiem. Gdzieś między De Sestim i Cordovą kazał mi pokazać kilka ćwiczeń. Zaczynał od jednego, a potem robił i trzy, cztery. Kazał mi przyjąć wewnętrzną częścią stopy, zewnętrzną, udem. A ci mistrzowie stali i patrzyli na mnie. Mało nie wyskoczyłem ze skóry.

Liedholm był bardzo przesądny.

BC: Pamiętam to dobrze. Nigdy nie chciał kwiatów w szatni, zawsze zostawiał je na zewnątrz. Kiedy przygotowywaliśmy się do treningu, krążył po szatni z rękoma w kieszeniach i układał buty. Nie mógł znieść, jeśli nie były uporządkowane. Pewnego razu Bacci przez przypadek założył jego kurtkę i znalazł w kieszeniach czosnek i różne amulety. Po zakończeniu sezonu odszedł... A na ilu zgrupowaniach w Buscate był mag Mario Maggi... Jechaliśmy tam, nawet jeśli mieliśmy grać z Cagliari. Nigdy też nie zmienialiśmy drogi dojazdowej na stadion. Jak były korki i manager drużyny mówił "wszystko jest zablokowane", to Baron odpowiadał "uprzedźcie sędziego, że zaczniemy pół godziny później". Także autokar musiał stać zawsze w tym samym miejscu.

Ale Liedholm potrafił także być twardy.

BC: Oczywiście, że tak. Jeśli się wściekał, to łapał piłkarzy za gardło. Zdarzyło się to też mi w jakimś meczu na Tre Fontane. Taką samą sytuację miał Rocca, miał Turone.

Przez tyle lat w piłkarskim świecie nigdy nie mógł Pan spać w noc przed meczem.

BC: Nawet kiedy przez krótki czas pracowałem jako trener. Myślałem o tym, co może się zdarzyć następnego dnia. Potem myślałem też o rodzinie. Żeby o nich zadbać. O moim ojcu, który wychował siedmioro dzieci, ciężko pracując jako murarz. Kiedy dowiedział się, że Roma mnie zatrudniła, był przeszczęśliwy. Otrzymałem określone wychowanie. Proste wartości. Zawsze miałem w sobie model rodziny, dzieliłem się sukcesami z moimi bliskim. Zawsze niewiele spałem. Pewnego razu na zgrupowaniu kadry próbowałem wziąć pół tabletki na sen. Następnego dnia musiałem dostać zastrzyk, ale to nie przywróciło mnie do życia. Po kwadransie zostałem zmieniony. Także na mundialu było podobnie. Dzieliłem pokój z Giovannim Gallim. On o dziesiątej spał jak zabity. Ja od czasu do czasu paliłem papierosa w łazience, żeby mu nie przeszkadzać. Nie zapalałem światła, więc przypadkiem uderzyłem nogą w komodę. Następnego dnia Bearzot przeniósł mnie do pokoju jednoosobowego. Bearzot mnie rozumiał.

Na mundialu doszło do poważnego spięcia z dziennikarzami, które doprowadziło do pierwszej w historii ciszy prasowej.

BC: Z dystansu lat mogę powiedzieć, że mi się nie podobała ta cisza prasowa. Wspaniale było opowiadać o mundialu. Ale po pierwszej rundzie niektóre gazety zaczęły pisać niewiarygodne rzeczy: sugerowali, że Cabrini i Tardelli są parą (Cabrini miał być kobietą, a Tardelli facetem), że inni chodzą do nocnych lokali. Pamiętam, że byliśmy w barze, kiedy Bearzot pokłócił się z dziennikarzem. I wtedy zapadła decyzja, że będzie się wypowiadał oficjalnie tylko Zoff. Początek tego mundialu nie był łatwy, zremisowaliśmy z Peru i Kamerunem. Nie graliśmy dobrze. Wokół nas była fatalna atmosfera. Wszyscy twierdzili, że wrócimy do domu bardzo szybko. Ale potem zespół się odmienił. Zaczęliśmy się spotykać z wielkimi rywalami. Mówiło się, że gramy catenaccio, ale każdemu strzelaliśmy po trzy gole. W tamtym zespole byli wspaniali piłkarze.

W Hiszpanii poznał Pan Sandro Pertiniego [ówczesny prezydent Włoch - od red.].

BC: To było piękne. Po pierwszej rundzie zaczęli przyjeżdżać moja żona z dziećmi i moi przyjaciele z Nettuno. Wyjazd do Hiszpanii kosztował ich wiele wyrzeczeń. Pertini przez cały czas spędzony z nami dawał nam dużo odwagi. Pamiętam w czasie podróży powrotnej, jak się zapalał przy grze w karty. Czuliśmy, jakbyśmy znali go przez całe życie. Wspaniały człowiek na czele kraju zmaltretowanego walką z terroryzmem. Sprawiliśmy, że Włosi zapomnieli o przykrych rzeczach i mogli się cieszyć. Także emigranci w Kanadzie i Ameryce Południowej czuli się z nas dumni.

Jak wyglądało świętowanie sukcesu w Nettuno?

BC: Przyjechali po mnie mercedesem kabrio. Myślałem, że będzie jakaś uroczystość w urzędzie miasta, a tymczasem obwieźli mnie po całej okolicy. Ja na stojąco. Przyjaciele, którzy razem ze mną dorastali, całowali mnie po rękach ze łzami w oczach. Jakbym był papieżem. Mój ojciec czuł tego dnia ogromną radość. Nie doczekał mojego pożegnania z piłką. Mój ojciec zawsze był człowiekiem dyskretnym, trzymał się na uboczu. Pamiętam go tamtego dnia - miał łzy w oczach. Kiedy poszedł na emeryturę, dla rozrywki zajmował się ogrodem. Sadził żółte i czerwone kwiaty. Nawet rury od bojlera pomalował na te kolory.

Wartości rodzinne przekazał Pan także swoim dzieciom.

BC: To przede wszystkim zasługa mojej żony. To ona przede wszystkim je wychowała, bo ja często byłem na zgrupowaniach. Ale oni trzymają się blisko. Jeden mieszka w Szwajcarii, drugi na Sardynii, ale spotykają się, razem spędzają wakacje. Daniele miał więcej szczęścia, Andrea jest lepszy technicznie, ale zdarzyło mu się wiele kontuzji. Ich relacje to dla mnie największe szczęście. Mogę umierać spokojny.

Zachęcał ich Pan do gry w piłkę?

BC: Nie. Ale u nas w domu nigdy nie było zabawek. Tylko piłka. Chcieli chodzić ze mną na treningi. Jak byli mali, zapisałem ich do szkółki piłkarskiej. Pewnego dnia Andrea powiedział mi, że nie chce już tam chodzić, więc pozwoliłem mu samemu zdecydować. Potem wrócił.

Pośród swoich dawnych kolegów z boiska ma Pan szczególne relacje z Paulo Roberto Falcao.

BC: Mówiliśmy w tym samym języku. Zawsze kochałem brazylijską piłkę. Z nim, ale też z Pruzzo i Ancelottim, miałem szczególne relacje. Razem jeździliśmy na wakacje. Ale Agostino zawsze był moim kapitanem. Z Paulo darzyliśmy się bezgranicznym szacunkiem. Na mundialu, po naszej wygranej, objęliśmy się bez słowa.

Di Bartolomei miał pistolet nawet na zgrupowaniu.

BC: Nosił go w torbie, nie wiem dlaczego. Pewnego dnia w szatni dla żartu wyjął naboje i przyłożył mi go do skroni. Zrobiłem mu awanturę. Na zgrupowaniach zawsze go miał przy sobie. Kiedy dowiedziałem się, że popełnił samobójstwo, nie chciałem w to uwierzyć. Kilka dni wcześniej zorganizowałem mecz, żeby pomóc Fabio Casadei, chłopakowi, który dorastał z nami w Primaveraze i wylądował na wózku inwalidzkim. Przyjechał, pożartowaliśmy jak zawsze. Nie miałem pojęcia, że potrzebuje pomocy. To było niewiarygodne.

Falcao i Di Bartolomei nie byli przyjaciółmi.

BC: Obaj mieli mocne charaktery. Paulo cechował się nieprzeciętną piłkarską inteligencją. Ale w szatni to zawsze Agostino kontrolował sytuację, to on szedł rozmawiać o premiach. Na boisko tego ich odmiennego sposobu bycia nie było widać.

Próbował Pan przekonać Falcao, żeby to on wykonał rzut karny przeciw Liverpoolowi?

BC: Kiedy Liedholm podał nam nazwiska strzelców, miałem inne kwestie do przemyślenia. Ja też nie byłem ekspertem od karnych i popełniłem błąd. Podobnie jak Graziani. W pewnych sytuacjach wielcy mistrzowie nie mogą się cofać. Nie chcę go krytykować, ale tak jest.

Czy to było największe rozczarowanie w Pana życiu zawodowym?

BC: Bez wątplenia. Byłbym jedynym piłkarzem, który wygrał scudetto, mundial i Puchar Mistrzów. To była niepowtarzalna okazja. Graliśmy na Olimpico. Festa na Circo Massimo z Antonello Vendittim była już gotowa. Dla naszych kibiców to byłoby fantastyczne.

Eriksson był pierwszym trenerem, który zakwestionował Pana pozycję.

BC: Nigdy się nie cofałem. Zawsze byłem pierwszy na treningu. Jeśli miałem trenera, który nie widział mnie w kadrze, robiłem wszystko, żeby mu nie ułatwić tej decyzji. Eriksson starał się wprowadzić coś nowego, chciał Berggreena, który miał inne cechy niż ja. Miałem z nim kilka spięć, ale potem nasze relacje były dobre.

Odebrał Panu koszulkę z numerem 7, żeby dać ją młodemu Impallomeniemu, a Panu dał szóstkę.

BC: To była jedna z tych decyzji wchodzących w jego optykę zmian. To jakby numer 10 stracił Pele czy Maradona. Ale nawet z szóstką się nie poddałem.

Gigi Radice przez rok poprowadził Romę pracującą.

BC: Na nowo zwarliśmy szyki wokół Radice, któremu zależało na walce i który stawiał na kolektyw. Przed meczem uderzał cię ręką w klatkę piersiową. Niewiarygodny cios. Raz wysłał w ten sposób Colucciego, odpowiedzialnego za przygotowanie atletyczne, do szpitala.

Potem zjawił się Ottavio Bianchi i weszliście na kolizyjny tor.

BC: W pracy zawsze wierzyłem w szacunek do innych. Tutaj tego brakowało. Czułem się bardzo dobrze, byłem zdrowy, chciałem trenować. Myślę, że wielcy trenerzy muszą się zachowywać z szacunkiem także w relacjach z piłkarzami. Z nim nigdy nie rozmawiałem. Nic mi nigdy nie powiedział. Mimo tego wszystkiego, co przeszedłem, zaprosiłem go na mój mecz pożegnalny. Powiedział mi, że nie może. Może i lepiej. To nie było jego święto. Gdyby nie on, może pograłbym jeszcze rok czy dwa. Chciały mnie u siebie inne drużyny, mogłem tam zamknąć karierę, bawiąc się. Choćby Bologna. Powiedziałem wszystkim "nie". Zdecydowałem, że zakończę karierę w żółto-czerwonej koszulce. Żałuję tylko jednego: nigdy nie zagrałem z Francesco Tottim.

Dokładnie dziesięć lat temu jako trener ocalił Pan Romę przez spadkiem do Serie B.

BC: Tamtego dnia byłem w Cagliari z okazji moich urodzin. Ale zadzwoniła do mnie Rosella Sensi. Byli z nią Totti, Pradè i Scala. Poprosiła mnie, żebym poprowadził drużynę, żeby wyszła z tej sytuacji. Ja już nie spałem... Mam dwa wspomnienia nie do wymazania: w Parmie po przegranym meczu zostałem w szatni, żeby zrobić tabelkę, ile punktów trzeba do ocalenia. W Bergamo po wygranej po голу Cassano spotkałem się z Rosellą i płakaliśmy jak dzieci. To było ciekawe doświadczenie. Oddałem się do dyspozycji Romy, byłem dla niej. Kibice byli ze mną. Pamiętam pierwszy mecz na Olimpico. Curva Sud przywitała mnie gigantyczną koszulką z numerem 7.

Z Franco Sensim na początku nie było różowo...

BC: Było kilka zgrzytów. Kiedy poprosiłem go o zgodę na sprowadzenie jakiegoś chłopaka, powiedział mi, że ma ważniejsze rzeczy do roboty. Pamiętam, że przywaliłem wtedy pięścią w drzwi kasy biletowej, gdzie był jeszcze Esposito. Podałem się do dymisji, potem to odkręcono. Żeby nie stracić D`Agostino, zabrałem go do mnie do domu. Moja żona mu gotowała i prała.

Na następcę wybrał Pan Spalletiego.

BC: Do niego zadzwoniłem najpierw. Spotkaliśmy się w sekrecie na Aurelia, zanim pojechaliśmy do Sensich, żeby złożyć podpis. Jest niewiarygodnym człowiekiem. Zawsze robił wiele rzeczy, wokół których nie chciał rozgłosu. W czasie kolacji na zgrupowaniu w Trigorii zdecydował, że wszyscy razem pójdziemy odwiedzić Tottiego, który kilka dni wcześniej złamał nogę. Innym razem zadzwonił alarm przeciwłamaniowy w domu Panucciego i z Trigorii wylecieliśmy z kijami, żeby pojechać do Castelli, gdzie mieszkał Cristian.

Jako członek sztabu odrzucił Pan sowitą ofertę za De Rossiego.

BC: Chelsea oferowała 60 milionów. Ancelotti często do mnie dzwonił. Ale Rosella Sensi nawet w trudnościach nie chciała go sprzedać. Jeśli odejdzie, będzie afera - mówiła.

Tłumaczenie: kaisa

Za wygrzebanie wywiadu w sieci podziękowania dla: Romao :-)

Autor: kaisa